

JERZY S. WASILEWSKI

## Etnolog w podróży

### Opisywanie Chin

W podróży takiej jak ta najbardziej lubię ostatnie dwa, trzy wieczory. Nieuchronność końca, przymus pożegnania przeplatają się z perspektywą powrotu do domu, a gdzieś w tle są jeszcze nadzieje i pomysły na powtórny przyjazd. Żal osłodzony ulgą, satysfakcją i oczekiwaniem.

Ulice chińskiego miasta, takiego jak Czungdu albo Hsian, nigdy nie wyglądają lepiej. W dzień okropnie ruderowate, z irytująco błotnistą nawierzchnią (może to i historyczna stolica imperium albo prowincji, ale Paryż to na pewno nie jest), przemieniają się na noc w świetliste tunele, z zamykającym perspektywę łukiem bramnym Wieży Bębnow albo Wieży Dzwonów. Szybko zapadający zmrok usuwa przestrzeń nieboskłonu, dramatycznie obniżając pułap widzialności i dając – wespół z koronami ulicznych drzew – kojące przykrycie ciemnością tuż ponad głowami.

Chodników nie oświetlają latarnie (jeśli już, to niskie i słabe), a jedynie mocne gołe żarówki, zawieszane niby lampiony przed otwartymi do późna sklepami, lokalikami i przeróżnymi warsztatami. Wabią półmrokiem mijane w ostatniej przechadzce zakłady fryzjerskie, pół-oświetlone różowymi jarzeniówkami i żaróweczkami wokół luster, a młode fryzjerki machają zachęcająco, jakby miały do zaoferowania coś więcej niż tylko standardowe strzyżenie, połączone z masażem głowy i akupunkturą uszu.

Znów kusi jedzenie – powtarzane do znudzenia w całej podróży słodko-kwaśne smaki, do których nieprędko wróć. Szkoda, że nie kupię już pachnącego, świeżo upieczonego placka z sezamem – ich sprzedawcy poznikali z ulic, bo wieczór nie jest porą na uliczną przekąskę, ale na prawdziwy obiad.

Żal wyjeżdżać, bo przecież zniknie zaraz z oczu cały świat. Pozostanie garść wrażeń, które zbierały się na sicie pamięci po odsianiu tego co zbyteczne, jałowe, nudne. Już się one układają w relację, już wybieram to, co będę opowiadać po powrocie. Syndrom Dżambła – opowiadanie jako ostatnia, najprzyjemniejsza część podróży, na równi z pierwszą – przygotowaniami do wyprawy. Zresztą obie one nakładają się, bo przygotowa-

nia to przecież wysłuchiwanie czyichś relacji, czytanie opisów poprzedników, budowanie w oparciu o nie własnych wyobrażeń.

Czyż nie jedzie się po to, by sprawdzić wcześniejsze wyobrażenia? Ruszamy w podróż, bo trzeba zareagować na ten osobisty sygnał, odpowiedzieć na indywidualne wezwanie, usłuchać powołania, którego głos może pochodzić nawet z podejrzanego źródła.

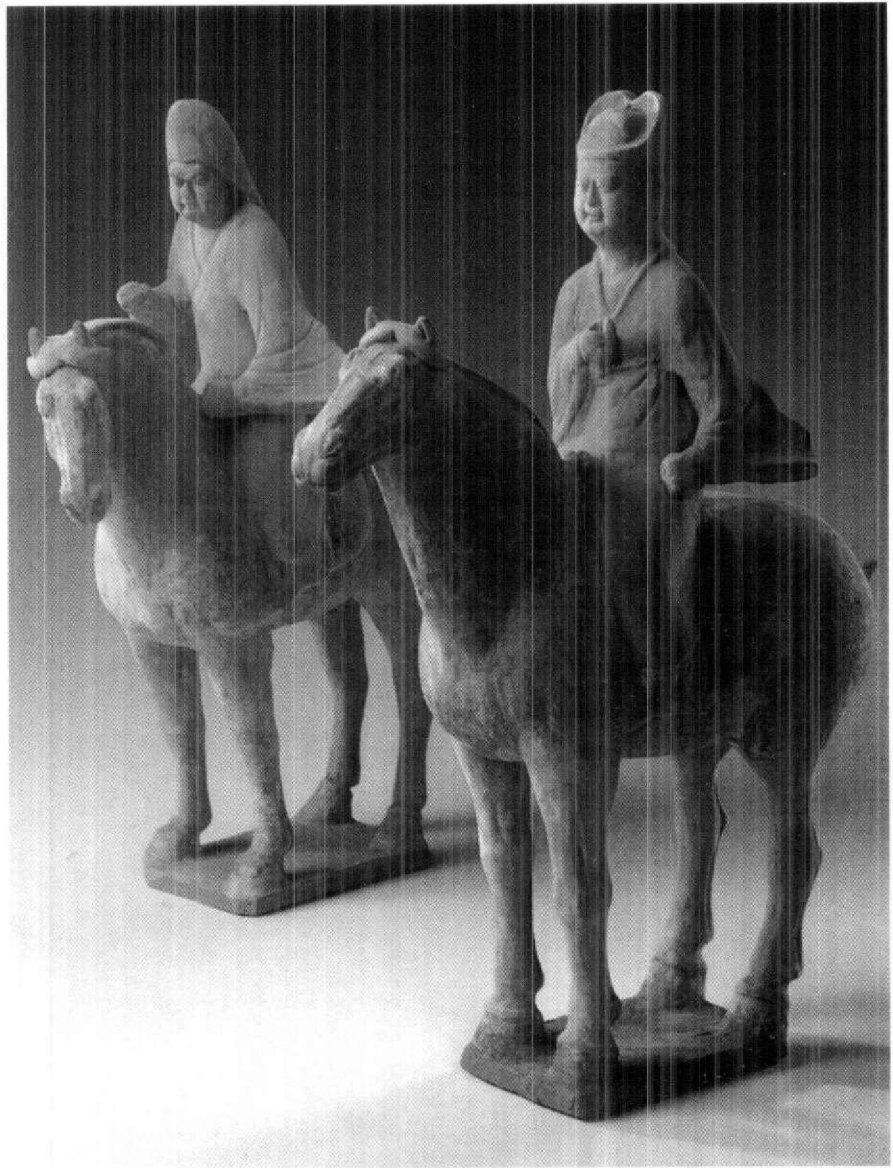
## 2

Do Pekinu (w którym dotąd nie byłem) jechałem w gruncie rzeczy po to, by zweryfikować pewną opowieść. Usłyszałem kiedyś od pracującego w Chinach przed laty znajomego, że jeśli w wypadku ulicznym przejechany został człowiek (samochód pojawiał się tam wtedy pewnie raz na pół godziny, ale może był przez to groźniejszy dla nieobytych pieszych i rowerzystów), to nie zadawano sobie próżnego trudu ustalania personaliów ofiary i szukania jej adresu, tylko chowano ją od razu, na miejscu – kopiąc grób gdzieś z boku, na trawniku.

Przyznam, że sugestywna to była wizja. Dzisiaj wiem, że wystarczy nawet krótki pobyt w Pekinie, by znikła jej hipnotyczna moc. Traktuję ją jako zmyślenie, typowe dla ambasadzkich emisariuszy, dodających w ten sposób egzotyczności miejscom swego wygnania. Historie takie z jednej strony szokują niewiarygodnością, z drugiej strony wydają się zgoła wiarygodne, bowiem odwołują się do obiegowych klisz (na temat przeludnienia Chin, braku szacunku dla jednostki) i wyobrażeń słuchacza o kraju nieznanym mu z autopsji, ale wystarczająco już zmitologizowanym. Trzeba samemu przejść się pekińską ulicą, by prysło zaklęcie tej opowieści – oto przecież obok poruszają się ludzie, a nie termity. Nawet przed ćwierćwieczem nie było inaczej.

Ale coś z „mitu” zostaje, skierowuje naszą uwagę na pewne sceny, wyostrza wzrok w poszukiwaniu wydarzeń, podsuwa takie a nie inne ich interpretacje. Jestem oto na statku, płynącym po Jangcy w jej środkowym biegu, na odcinku tzw. Trzech Przełomów. Te sławione w Chinach od wieków za swą urodę miejsca, przedstawiane w dawnej poezji i malarstwie, ze starymi tekstami wykutymi w skalnych ścianach nad wodą, ze świątyniami i miejscowościami, w których mieszka dziś prawie półtora miliona ludzi, zostaną niebawem zalane w efekcie budowy wielkiej zapory w Guizhou.

Przepływamy właśnie przez jedną z malowniczych partii – jak wszystkie takie miejsca w Chinach ma ono poetycką nazwę „Wątroba Konia i Płuca Wołu”, pewnie od kształtów nurtu, układającego się w pełne zawirowań tonie. Stojąc na pokładzie widokowym dostrzegam unoszące się na wodzie dwa ludzkie ciała. Półnagie, bladocięte i miśkowate od opuchnięcia, z wyciągniętymi do góry ramionami i rozkraczonymi nogami,

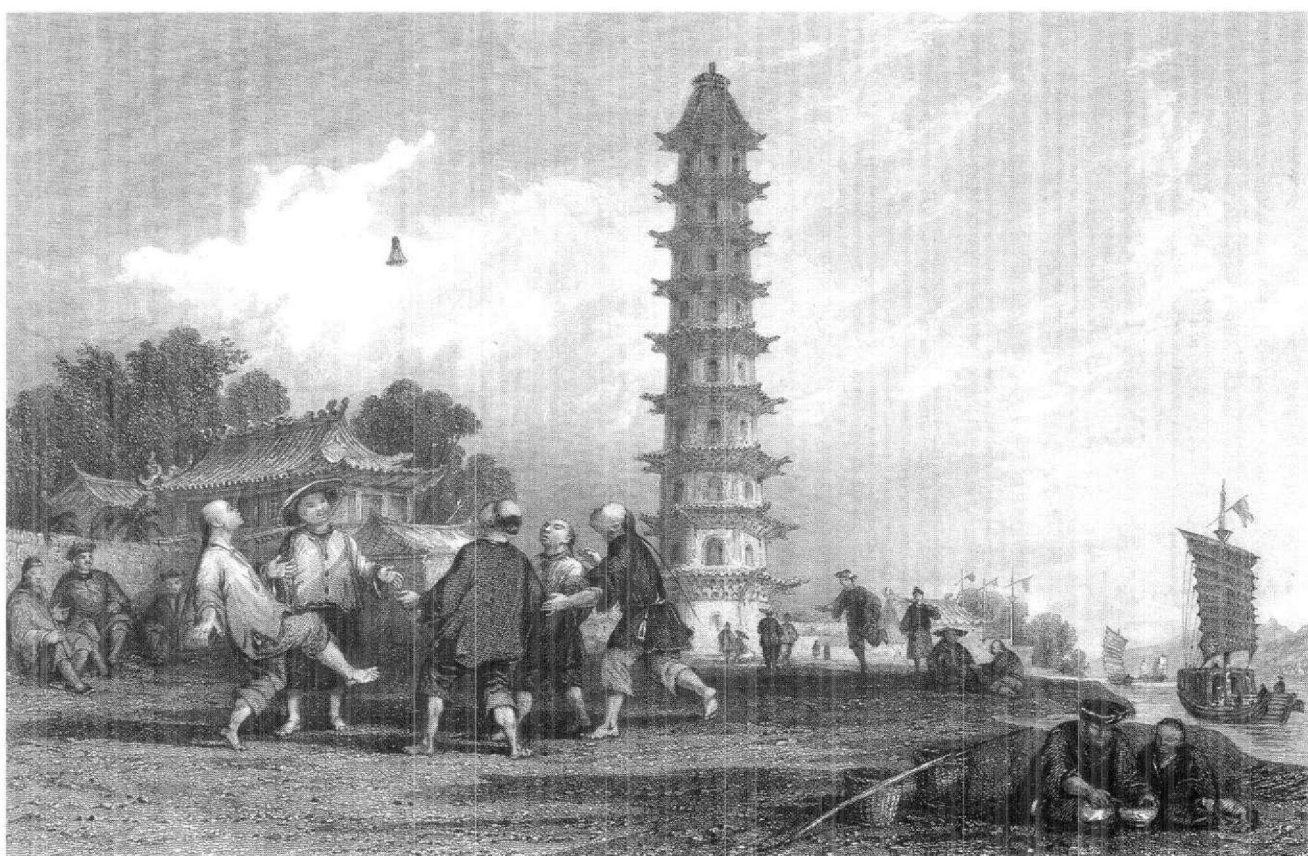
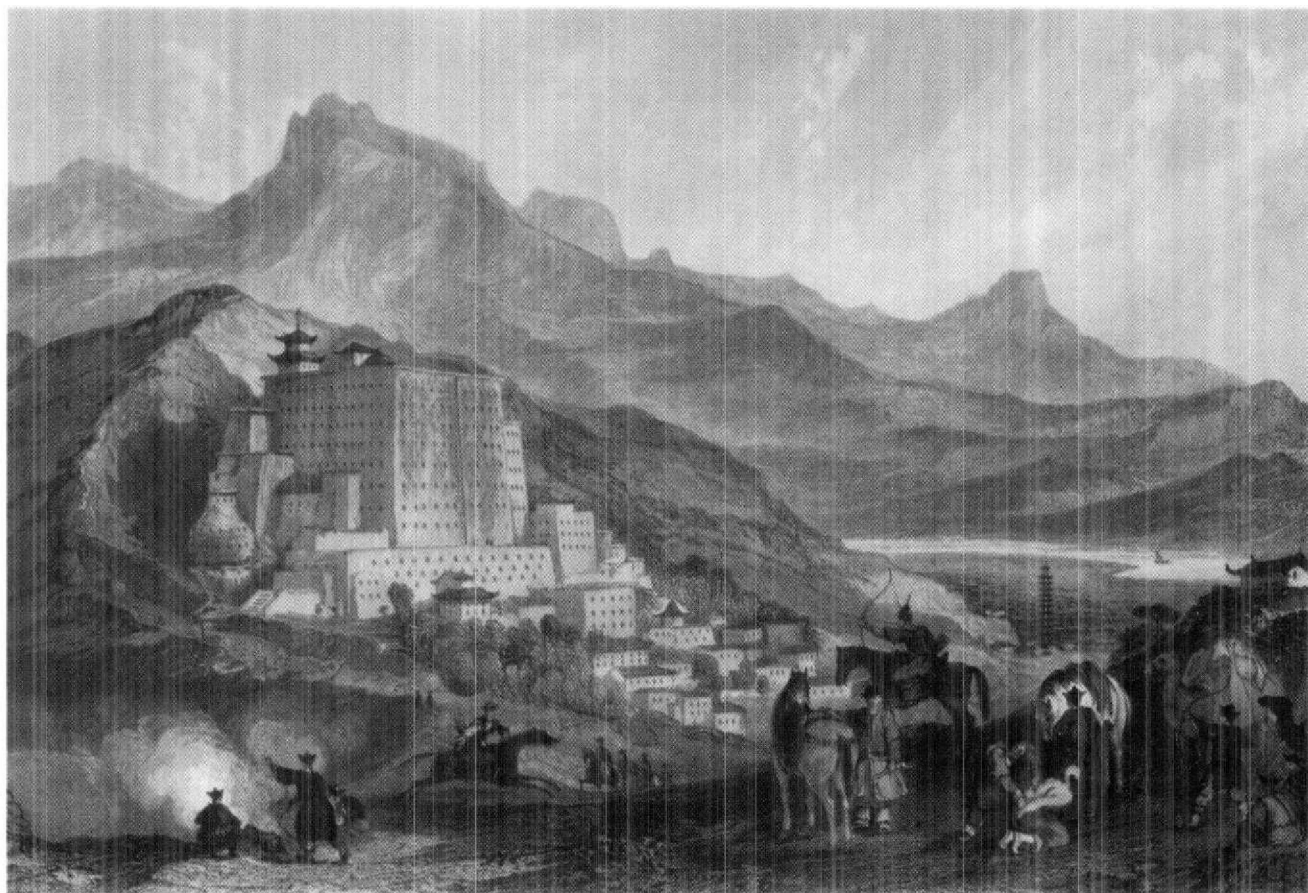


Jeźdźcy, terakota, dynastia Tang

Zrywanie owoców – Chińczycy w oczach Europejczyków.  
Kadzielnica porcelanowa, wyrób europejski (Vieux Paris?,  
pocz. XIX w.)







Chiny w oczach Europejczyków. Ilustracje Thomasa Alloma do albumu *The Chinese Empire Illustrated*, London 1859



Banknoty dla zmarłych

twarzami do dołu, płyną tak pewnie już jakiś czas, nie wywołując reakcji żadnego z kursujących tam stateczków i motorowych dżonek. Także i my przepływamy nieopodal, nie robiąc sobie z nimi kłopotu. Nie umiem wyjść poza banalną zdawkową konkluzję, że życie ludzkie nie miało tu nigdy wysokiej ceny, skoro po śmierci los jednostki jest wszystkim zgoła obojętny.

### 3

Jaką głębszą prawdę o chińskim społeczeństwie może sformułować etnolog w podróży? Jakie wartości jest w stanie dostrzec ktoś, kto nie zna chińskiego, nie może prowadzić intensywnych badań terenowych, jest niewiele więcej niż turystą? Co szokuje mnie jako przybysza z Europy i co z tymi spostrzeżeniami mam uczynić jako nieuleczalny zawodowy interpretator?

Kiedy widzę, jak po dworcowym peronie biegnie do pociągu mężczyzna w średnim wieku, niosąc na plecach starowinkę, najpewniej matkę, to myślę o trwałości konfucjańskich przykazań synowskiej miłości. Chodząc po bazarze, patrząc na rozmaitość fauny, budzącej zainteresowanie nabywców, przekonuję się, że Chińczycy naprawdę kochają zwierzęta – pod wszystkimi postaciami i we wszystkich smakach. Ta miłość nie zna ograniczeń gatunkowych, jest chyba wręcz ambicją tej kultury zrobienie użytku ze wszystkich istot. Idąc przez bazar w stolicy Syczuanu, Czengdu, mija się dział hobbystyczno-hodowlany z dziesiątkami rodzajów rybek akwaryjnych, krabików pełzających w swych kolorowych muszlach, żółwików i wszelakich reptiliów, który to dział płynnie przechodzi w sektor gastronomiczny. Dobrze utrzymane kotki z błyszczącym futrem będą domowymi pieszczołami, ale w kolejnych klatkach ustępują miejsca mniej zadbanym, przeznaczonym na pewno do garnka. I znów ta chińska mitologizująca poetyczność: taka zupa nazywa się „walka smoka z tygrysem”, bo pływają w niej kawałki mięsa kota i węża.

*„Wszędzie w Chinach widzi się ludzką żarłoczność. Każde zajęcie i zatrudnienie wydaje się mieć za swój cel zaspokojenie apetytu. Bogaci i wysoko postawieni są definitywnie wybrednymi smakoszami. Klasy średnie i niższe to zdecydowani sensualiści. Upodobania tych pierwszych ograniczają jedynie rozmiary ich dochodów, żarłoczność tych drugich jest niepomiarkowana, a to dzięki niezwyklej ilości gatunków jadalnych. Jest to najbardziej wszystkożerny naród na świecie. Nie ma zwierzęcia ani rośliny, których ci gastronomowie nie umieliby, dzięki kunsztowi i przemyślności, podać na stół i zjeść bez groźby dla życia: mięso dzikich koni, larwy ćmy, łapy niedźwiedzia (...) Najbardziej poszukiwanym rodzajem psa jest spaniel; biedne te zwierzęta zdają się szczególnie opuszczone w swym więzieniu, nie wyglądając nawet z kosza w nadziei wolności, podczas gdy koty, przeciwnie – drą się bezustannie i nigdy chy-*

*ba nie przestaną tracić nadziei na ucieczkę przed losem, który wydaje się przecież nieunikniony”* – już przed półtora wiekiem tak patrzyła na Chiny współczująca Europa, a konkretnie pastor G. N. Wright w pierwszym popularnym przedstawieniu Państwa Środka, *The Chinese Empire Illustrated* (1859). Opisy zilustrował stosownymi rycinami Thomas Allom, który nigdy w Chinach nie był i nadał im klimat „Orientu bajecznego”.

A przy tym – wracając znów do współczesnych kulnariów – obsesja świeżości, głęboko mądra w gorącym klimacie. Czuźne sprawdzanie, czy klute palcem w brzuch tłuste żaby będą żwawo podskakiwać przed upchaniem ich do plastikowej torby. Przed restauracjami na wyspie Putuoshan, na której wznosi się kilkanaście świątyń buddyjskich i ogromny posąg Buddy Miłosierdzia (stąd wysepka jest celem tłumnych weekendowych wycieczek niby-pielgrzymów, czy po prostu turystów z Szanghaju) pływają w miednicach wystawionych na chodnik ryby i morskie stworzenia. Głodni pielgrzymi wyszczególniają je palcem, a kelner chwytając je oburącz, unosi ponad głowę i miłosiernie uśmierca jednym silnym walnięciem o asfalt.

Każda restauracyjka ma podział na „owoce morza” i „żywe owoce morza”, ale w praktyce ta dystynkcja często ulega zatarciu. W syczuańskim Ludingu, w byle jakiej knajpce na ladzie leżą do wyboru talerzyki z surowymi porcjami, przygotowanymi do wrzucenia do gotujących się kociołków na stolikach. Właśnie doniesiono coś z zaplecza, małe rybki (z głowy i wąsów sądząc – sumiki) mają wprawdzie rozprute brzuchy, ale żaden weterynarz nie wystawiłby im świadectwa zgonu widząc ich żwawe ruchy, nawet jeszcze gdy pływają we wrzątku w moim kociołku, zamasyście zgarnięte przez restauratora.

Na drugim biegunie gastronomii, w szanghajskim Ritzu, podają sławne „pijane krewetki” – przebierając odnóżami pływają jeszcze ochoczo w winie, w którym będą się na naszych oczach gotować.

Nieostatnią rzeczą, która mnie w tym porusza, są reakcje przybyszy ze światów o odmiennych systemach przekonań konsumpcyjnych. W hotelowym korytarzu wpadam na trzech przykucniętych młodzianów, gotujących coś na turystycznym palniku. Zaskoczony pytam, dlaczego w kraju taniej gastronomii muszą sami gotować. Nie dokończywszy pytania dostrzegam smagłość ich twarzy i sam odpowiadam, że musi to się wiązać z regułami Kaszrutu. Potwierdzają domysł i żalą się, że nigdzie nie mogą być pewni koszerności jedzenia. Ci gorliwi (bo, jak się dowiaduję, świeżo sprowadzeni do Izraela) Żydzi marokańscy skarżą się, że jako jedzenie wegetariańskie podawano im kurczaka albo warzywa smażone na wieprzowym smalcu, a sposoby traktowania i uśmiercania zwierząt są dla nich budzącym grozę przejawem braku szacunku do życia.

Żydzi (których, jak wszędzie w świecie, często spotyka się wśród turystów) mają szczególne kłopoty z życiem, nawet jeśli są to liberałowie z Nowego Jorku. Muszą zweryfikować albo przenegocjować ze swymi współmałżonkami wcześniejsze indywidualne wariantowe wybory w kwestii wierności przepisom („wieprzowina – nigdy, owoce morza – tylko w restauracjach, żeby nie robić problemu, ale nie w domu, lody – zawsze tak, itd.”).

Na prośbę prowadzącego restaurację Tybetańczyka (który jest zresztą rzutkiem człowiekiem rozlicznych interesów i rozumie potrzebę wyjścia do takich klientów) piszę zachęcający tekst po angielsku dla turystów, obiecujący im jedzenie zgodne z ich standardami. Mam satysfakcję pomagając człowiekowi, który wspiera tybetańską społeczność w chińskim otoczeniu, ale jednocześnie jako etnolog jestem świadom, że przyczyniam się do zacierania różnic w zglobalizowanym świecie, gdzie nawet w Tybecie będą podawać koszerne jedzenie.

#### 4

Miasto chińskie potrafi być odrażająco brzydkie. Jeden buduje przez drugiego, przed drugim, na drugim. Widać to szczególnie w zachodnich, górzystych rejonach kraju, gdzie terenów zdalnych pod budowę jest niewiele, a jeszcze trzeba o nie walczyć z rolnictwem, które potrafi wykorzystywać parometrowe spłachetki między skałami, szosą a rzeką. Położone nad Jangcy-kiangiem na obszarze dokładnie 1 km<sup>2</sup> miasto Fengdu liczy ni mniej ni więcej tylko 40 tysięcy mieszkańców – niech to czytelnik łaskawie porówna ze znanymi mu z Europy wskaźnikami. Porównywalne wyniki notują tylko południowoazjatyckie molochy – Bombaj, Kalkuta, Dżakarta; nawet Tokio ma gęstość zaludnienia trzykrotnie niższą. Takie upakowanie ludzi można osiągnąć przez piętrzenie wysokich blokhauzów. Wszędzie goły cement, szarość, brud. Ubłocone ulice, góry śmieci zsuwające się do rzeki mimo ustawicznej pracy biedaków, którzy odzyskują każdy kawałek papieru, żelastwa, nawet styropianu. Chwila naiwnej futurologii i ciarki przechodzą po plecach na myśl, że to wcale nie jest przejściowy epizod na drodze do porządnej metropolii albo lokalny subkontynentalny wariant, ale nieunikniona przyszłość dla całego globu.

Przypadek szczególny: Szanghaj. Kilka lat temu, w szczycie koniunktury, pracowało tu – uwaga, to liczba wręcz nieprawdopodobna – 60 procent wszystkich dźwigów budowlanych na całym świecie! Dziś zostało tylko 20 procent, a i tych nie widać, bo zasłaniają je setki nowych wysokościowców, biurowych i mieszkalnych – w większości nijakich, nie składających się na urbanistykę, niezintegrowanych z ulicą. Architekt

wnętrz skarży się, że nawet w tym zamożnym, zeuropeizowanym mieście ludzie przywykli odbierać mieszkania z wykończeniem betonowym i tak to już zostaje.

Prowincjonalna metropolia w miniaturze, taka jak Kanding, nieodparcie przywodzi na myśl koszarne miasta przyszłości w wersji apokaliptycznej, z takich filmów jak *Piąty element* albo *Łowca androidów*. Kinematograficzne skojarzenia narastają, gdy przyjrzeć się wiełoetnicznemu tłumkowi na ulicy i na bazarze. Różnorodność antropologii, pstrokacizna strojów, nieprawdopodobne przybrania głowy, zupełnie jak w *Wojnach gwiazdnych* – skupiska istot najróżniejszych gatunków, nie tylko *sapiens*.

No i monstrualne, nieludzkie kalectwo. Idąc w Czengdu wzdłuż Shun chengu, istnej ulicy żebraków, nie mogę oprzeć się idiotycznej myśli, że starożytne wyobrażenia psiogłowców albo ludzi nakrywających się własną stopą tu właśnie miały swoje źródło. Podchodzę do jednego z nieszczęśników (dolna połowa twarzy przerośnięta tak, że sięga do piersi), rzucam parę monet i administruję sobie trening empatii, na wzór zalecanego przez psychologów okresowego ćwiczenia asertywności: staram się opanować lęk i spojrzeć mu, jak człowiekowi, w oczy.

#### 5

Wieś chińska też potrafi być brzydka. Nawet w zachodnich, górzystych Chinach, gdzie urozmaicenie terenu maskuje nijakość domostw, poprzysłanianych zielenią, domy są z reguły byle jakie, kryte szarą dachówką, z gołymi cementowymi ścianami. Wewnątrz jest jeszcze gorzej: ani śladu tego obowiązkowego układu przestrzennego, jaki pamiętam z chińskich miasteczek w Malezji. Wejściowy hol – wewnątrz centralne, pełniące funkcje salonu ogólnorodzinnego i towarzyskiego – był tam uporządkowany przez dominantę domowego ołtarza i symetrię hieratycznych krzeseł. Tu jest on równie niechlujnie zagospodarowany jak kolejne pomieszczenia (kuchnia, spiżarnia, sypialnia). Wypełnia go zbieranina przypadkowych, rozklekotanych rupieci (szczególnie odstrasza ją siedzenia autobusowe, z porzywaną tapicerką z dermy), porozstawianych byle jak, tak że nawet telewizor nie wpływa na zorganizowanie czy uładzenie całości.

W układzie wsi nie ma mowy o regułach *feng shui*, które zalecały, by dom „siedział na północy, patrząc na południe”. Ludzie śmieją się z dawnej geomancji, a skomplikowane kompasy służące niegdyś do określania właściwej lokalizacji domostwa względem stron świata, gwiazdozbiorów itp. poniewierają się wśród staroci sprzedawanych na bazarach turystom.

Jak to się dzieje, że tylko mniejszości etniczne zachowują przywiązanie do wypracowanej, uporządkowanej formy? We wsi tybetańskiej zachodniego Syczuanu



Uliczna apteka. Ilustracja Thomasa Alloma do albumu *The Chinese Empire Illustrated*, London 1859

wszystko budowane jest foremnie. Kamienne domy-twierdze mają nienagannie trapezoidalną sylwetkę wzbogaconą jedynie o talerz satelitarnej telewizji na dachu, gdzie po dawnemu odbywa się mlócenie zboża. Strojem codziennym nie jest też wyszmelcowana marynarka, ale fantazyjnie przerzucona przez jedno ramię szuba, u kobiet kapelusz, a do tego różaniec albo młynek modlitewny, stale w ruchu, nawet w czasie bazarowych zakupów.

Mniejszość etniczna, narodowa – grupa ludzi, którzy **chcą** pozostać w mniejszości, a kulturą materialną bronią się przed zniweczeniem, upodobnieniem do dominującej reszty wytartych marynarek i byle jakich baraków, przed utratą tożsamości.

## 6

Religijność tybetańska, lamajska, jest poważniejsza niż chińska, taoistyczna. Świątynia Tao, zwłaszcza bardziej rozbudowana, większa, nieodparcie przywodzi na myśl jakieś disneyowskie wesołe miasteczko. Pstrokacizna barw, nachalna polichromia posągów w długiej galerii bóstw astralnych, deifikowanych postaci historycznych, cesarzy, generałów, patronów różnych kunsztów i profesji. Gips, papier, tandeta – nie tylko fizyczna umowność, ale i myślowa pływiczna symboli.

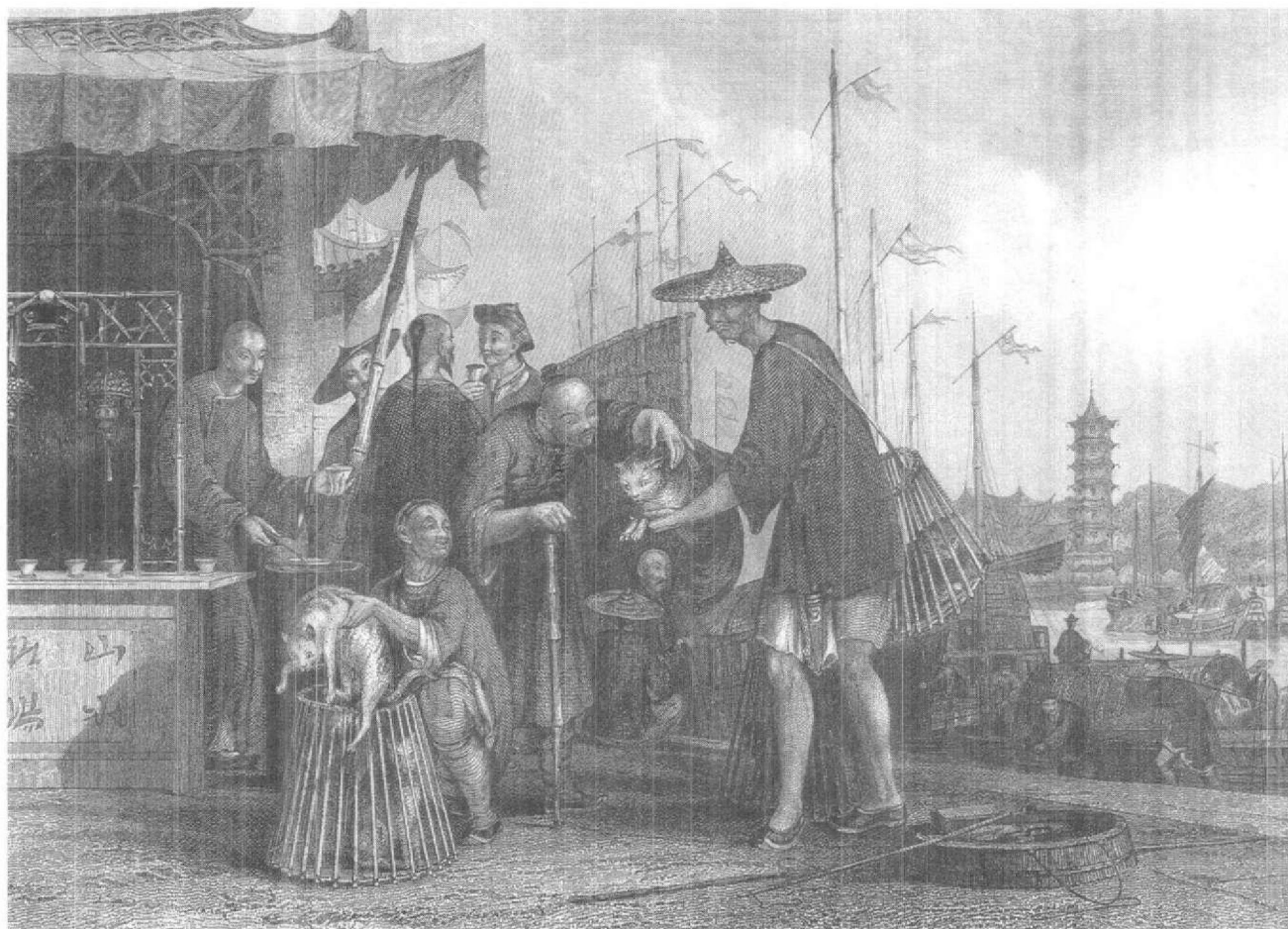
Wierni składający w ofierze przodkom „banknoty zmarłych”, spalane całymi plikami kolorowe pliki papieru z kiczowatymi emblematami, o nieprawdopodobnych, idących w miliardy, nominalach. Ogólna wesołość przy wykonywaniu zalecanych praktyk, które zresztą wyglądają jak sztuczki, mające zapewnić zbawienie: pokonać długie schody nie oddychając, z zamkniętymi oczyma przejść po linii prostej, a przed ołtarzem – licząc do trzech ustać na czubku mosiężnej półkuli na jednej nodze.

W lamajskim klasztorze ciemności wnętrza odpowiada chromatyka chóru mnisich głosów. Niskie, basowe dźwięki bezustannej, nawiedzonej recytacji tekstów. Skupione obchodzenie figur, mozolne, długotrwałe obracanie wielkiego bębna – młynka modlitewnego. Kiedy pochodzę, podbiega lama i pokazuje prawidłowy kierunek obracania. Nie wie najwidoczniej, że ma do czynienia z autorem studium na temat religijnej symboliki ruchu obrotowego.

Dzięki Ci, Panie Boże, że stworzyłeś lamaizm.

## 7

Napisy nad drzwiami antykwariatów, wyliczające co można tu dostać, często wymieniają „cztery przedmioty do uprawiania nauki”, bez dalszej ich identyfikacji.



Sprzedawca kotów i herbaty. Ilustracje Thomasa Alloma do albumu *The Chinese Empire Illustrated*, London 1859

Chińska mnemotechnika – wpajanie cyfrowych gotowców. Kultura bogata i skomplikowana, a przy tym autorytarna, może być przyswojona najłatwiej pod postacią skrótów, haseł, maksym, odwołujących się do określonej, policzalnej ilości elementów.

„Jedno państwo, dwa systemy” (po przyłączeniu Hongkongu), „trzy (razy) mieć” (trzy przedmioty chińskiej minimalnej stabilizacji), „trzy naciski i trzy reprezentacje” (ostatnie hasła partyjnej propagandy), „banda czworga” itd. – kolejno można tak pewnie dojść aż do „filozofii stu kwiatów”. Ale wcześniej jeszcze te „cztery przedmioty do nauki”, którymi okazują się: pędzelek, papier, sztabka tuszu i ozdobna płytką do jego rozrabiania. *Bie, mo, dzy, je* – sylabizuję. – *Nie tak; bie, dzy, mo, je* – poprawia antykwariusz. Ważna jest też kolejność.

Najpiękniejsza płytką jaką widziałem, właściwie płytką, bo to krąg metrowej prawie średnicy, wykonana z kamienia, pochodzącego ze złóż od wieków słynących z najlepszego surowca, ma kosztować niespełna sto tysięcy dolarów.

Szacunek dla odwiecznego wzorca nie wyklucza podróbki. Wręcz przeciwnie, utrudnia zmianę, ale zachęca do imitacji, naśladownictwa, produkowania kopii. Chiny są i zawsze były krajem falsyfikatów – prze-

konuje się o tym każdy, kto spróbuje poruszać się po tutejszym rynku antykwarycznym.

Terakotowe figury koni i jeźdźców (nie myślę o oczywistych imitacjach armii z Hsianu, sprzedawanych turystom) pochodzą z dzikich wykopalisk. Od antykwariuszy słyszy się opowieści, jak chłopci szukają grobów z pomocą metalowych prętów, i „na czucie” odnajdują je do głębokości 4 metrów. Natychmiast trafiają do sprzedaży, pokryte jeszcze resztkami ziemi.

Hieratyczne, nieruchome figury jeźdźców z epoki Han, galopujące rumaki z czasów dynastii T'ang, konie Sung, z dziwną formą siodła – choruję na nie wszystkie, nie wrócę bez choćby jednego, muszę przełamać strach i dokonać wyboru. Niech więc będzie to ten koń Sungów – pewnie z dwunastego wieku – brutalnie wytargowany (aż mi żal prowincjonalnego antykwariusza, który teraz zupełnie zamilkł, skonsternowany: nie potrafił opierać się dłużej na widok banknotów, ale jeszcze nie wierzy, że zgodził się na tak niską cenę, bo spodziewał się kwoty dużo wyższej za taką udaną sztukę, na ogół bowiem dostawcy przynoszą mu proste, niezdarne figurki). Teraz już mój, krępy, szerokopierśny wierzchowiec stoi z dumnie wyciągniętą do przodu prawą nogą, z fantazyjnie przewiązaną tkaniną u siodła, istny pomnikowy rumak czekający na bohatera.

W kilka tygodni później widzę podobny obiekt u nieco już obznajomionego handlarza, który wie, że nie wciśnie mi byle czego i w swych objaśnieniach pozwala sobie na szczerość. „A to jest taka dziewiętnastowieczna podróbka konia Sungów” – rozwiewa moje iluzje.

## 8

W dzisiejszej chińskiej produkcji granica między oryginałem a fałszerstwem przestaje istnieć. Nie ma już prostego przeciwstawienia, są gradacje, niuanse i ustawiczna niepewność. Pekijski „Bazar Jedwabny” (gdzie nie sprzedaje się wcale jedwabiu, ale współczesne tekstylia) każe myśleć o jakiejś nowej, uogólnionej teorii symulaków. Człowiek Zachodu zjawia się tu w poszukiwaniu dwóch – gdzie indziej niesprowadzalnych do siebie – wartości. Pierwszą z nich jest marka, ten złoty cielec konsumeryzmu, obietnica absolutu i materializacja ideału, której to marki posiadanie wznosi we własnych i cudzych oczach do grona wybranych. Drugą, przeciwstawną wartością jest przystępność, taniość. Ta druga wartość dyskwalifikuje oczywiście pierwszą. W zamian za satysfakcję finansową przysparza rozterek duchowych.

Do jakich uczuć ma prawo ktoś, kto za parę dolarów kupi koszulę z magiczną sylwetką gracza w polo? Nie wie, co ma o tym wszystkim myśleć. Nie wie nawet, co kupił, bo panuje tu zasada nieoznaczoności – nie da się stwierdzić statusu przedmiotu. Może to dokładnie taki sam egzemplarz, jak ten do nabycia w eleganckim świecie, ale tani, bo prosto od wytwórcy? Może był on przeznaczony na eksport, ale został wykradzony z fabryki? Albo to raczej nielegalna kontynuacja oficjalnie zakontraktowanej partii? A może jakieś niezauważalnie gorsze odrzuty? Albo pełnoprawna, ale potaniona na użytek biednego kraju mutacja, wykonana przez lokalną firmę-córkę, jakieś Chino-Polo? A może nabywca, spojrzawszy nieuważnie na znaczek, nie dostrzegł, że ma on tylko przypominać ten wiadomy, ale jest trochę inny, dzięki czemu ominięto zarzut bezprawnej imitacji? Zgroza, snob pada ofiarą nieuwagi – cóż za bolesna nauczka dla tego, którego istotą jest przecież umiejętność odróżniania, wyszukiwania różnicy, wybredne znawstwo. A może producent poszedł jeszcze dalej, sparodiował znak oryginalny, robiąc świadomie oko do nabywcy?

Wątpliwości niweczą poczucie prestiżowego sukcesu. Absolut zdewaluowany, nie wiadomo nawet o ile.

## 9

Pewnych rzeczy nie zrozumie nigdy. Konfrontacja z realiami higienicznymi Chin to intelektualne wyzwanie dla każdego przyzwoitego anty-antyrelatywisty kulturowego. Szczególnie trudny jest chyba test plucia.

Chińczycy pluą wszędzie. Taksówkarz pluje przez swoje okno, pasażer przez swoje. Kelner pluje na podłogę, wychodząc z daniami z kuchni (on przynajmniej ma po temu jakiś rozumiały powód), piesi i rowerzyści na ziemię, pasażerowie samolotu – do torebek, które na pokładach innych linii używane są tylko w skrajnej potrzebie; na lotniskach, w nowoczesnych, wyłożonych marmurami pawilonach pluje się do koszy na śmieci, ale chyba trochę rzadziej.

Najgorzej jest na stacjach autobusowych i w autobusach dalekobieżnych. Ktoś podróżujący po Chinach z zamkniętymi oczami czułby się jak w szpitalu gruźliczym – wszędzie słychać odgłosy szczególnie dojmujące, bo poprzedzone długim, głośnym, głębokim odkrztuszeniem flegmy, czyli po prostu charknięciem. Jeśli to ja siedzę (lub leżę na pryczy autobusu sypialnego) od strony okna, to mój sąsiad nie będzie na tyle niegrzeczny, by strzykać mi przed nosem i śmiało zacnie pokrywać plwociną podłogę w przejściu. Dobrze jest siedzieć obok kobiety. Kobiety w autobusach prawie nie pluą.

Pytałem, czy są jakieś tubylcze uzasadnienia tej notorycznej praktyki, może odwołujące się do gimnastyki dróg oddechowych, do wymogu czystości organów wewnętrznych albo nawet do obrzydzenia brudem dokoła. Nikt nie był w stanie podać jakiegokolwiek racji, moi rozmówcy uciekali w formułki potępienia i nadziei, że odpowiednia kampania władz to wypełni. Widocznie nie każde ludzkie działanie, nawet powszechne, jest pochodną jakiejś wiedzy i norm.

Rozumiem że „oni” wierzą w co innego niż „my” – proszę bardzo, niech sobie wierzą w smoki, prądy ziemne, nieśmiertelną moc nefrytu, niech mają swoje wartości – ale dlaczego oprócz tego nie dzielają moich, naszych, zachodnich, przecie najważniejszych, (chciałoby się) uniwersalnych.

## 10

Za Chinami się tęskni.